• II ROK • ZESZY

MŁODOŚĆ

Czasopismo artystyczno-literackie

Skład redakcyi:
Edward Leszczyński
Jan Pietrzycki
Jan Bukowski (kier. art.)

Adres redakcyi: Kraków,
Gołębia 16

PRENUMERATA KWARTALNA WYNOSI:
W KRAKOWIE I NA PROWINCYI 85 ct.
ZA GRANICĄ: 1 mk. 50 pf., 2 fr., 80 kop.
CENA POJEDYŃCZEGO ZESZYTU 30 ct.

TREŚĆ NU. I.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: ULICA GOŁĘBIA 16, II. P.
OTWARTA CODZIENNIE PRÓCZ NIEDZIELI I ŚWIĄT OD
[illegible]-3 POPOŁUDNIU - - - - - - - - -

Edward Leszczyński.

Miserere.

Ja chcę wiedzieć, co tam jest
Za tym ciemnym śmierci brzegiem,
Gdzie od czasów niepamięci
Nędznych istot orszak tłumny
Nieprzebranym mknie szeregiem.
Ja chcę wiedzieć... bo mam prawo
Spojrzeć w otchłań owej trumny,
Gdzie od wieków świat Twój biegnie,
Gdzie mój szał zdeptany legnie,
Gdzie mię wichr Twój na wznak przegnie
I wywróci tam z powieką,
Z pod której łzy już nie cieką,
Z okiem, co patrzy daremnie
W otchłań i ciemnie.
Boże!
Ja ciebie błagam przez krwawą
Wieków bezustanną mękę,
Wieków, co lecą zdyszane
Za błędnym prawdy ognikiem
I upadają kolejno
U Twego tronu,
Żebrząc litości
Ostatnim krzykiem.
Ja Ciebie błagam przez ranę
Mrącej ludzkości,
Przez skonu straszną godzinę
Błagam Cię, Boże!
Wskrześ naszą pierś beznadziejną,
Niech nowym ogniem rozgorze,
Niechaj odetchnie.
Ja Ciebie błagam, o Boże!
Niech szatan nie tchnie
Zwątpienia w dzieciąt kołyski,
Niech ich niewinnych twarzy
Nie rozpłomienia
Całunkiem zdradnym
Swych wykrzywionych, lubieżnych ust
I niechaj snów im nie zmąca

Lękiem bezradnym,
Migając w oczy
Brzegiem skrwawionych chust,
Lecz niech ich wiara gorąca
Wiedzie do Twoich ołtarzy,
Aż głuchy, zimny grobowiec
Pierś im przytłoczy
Na zawsze.
Boże!
O! powiedz Ty mi, O! powiedz,
Że nowe słońce rozgorze
Za tamtym brzegiem;
Że Twoje syny,
Co idą zwartym szeregiem
Przez wszystkie życia męczarnie
W żądz swych niesytym pożarze,
Że oni nie idą tak marnie,
Że u śmiertelnej bramicy;
Przyjmie ich anioł ukojeń
I niebo odda im w darze
I tych, co w życiu nie znali
Pijanych życia upojeń,
Skąpie w światłości krynicy.
O! powiedz Ty mi, o! powiedz,
Że im się pierś nie rozżali
Poznaniem trudów daremnych,
Poznaniem własnej nicości,
Poznaniem owej rozpaczy,
Co staje przy śmierci bramie
I ręce łamie.
Litości! Boże! litości!
Nie daj nam zginąć wśród ciemnych
Bezdni chaosu.

Cicho... myśl blada
Tężeje w rzutach konania,
Ogromny ból drży w gwiazd milionach.
Mgły...
Księżycowych duchów gromada
Zatacza obłędny krąg.
Tańczą...
W opalowych osłonach

W krąg naokoło miesiąca
Obłędny wiodą tan.

Burzo!
W błysków palący wian
Opleć mą skroń;
Krzyczący ból mój wchłoń
W swój przepotężny dzwon
I dzwoń...
Na lęk,
Na rozpacz,
Na skon.
I wśród błękitów ogromu
Rozkrzycz go, rozkrzycz całą piersią gromu.
I niechaj ból ten drga
W sercu wszechświata.
Niech w bramy niebios kołata,
Niechaj się wężem błyskawic
W bezmiar przestrzeni przewije,
Niech w każdy atom się wpije,
Bezdnie chaosu przeniknie
I już nie zniknie —
A kiedyś u wieków krańca,
Gdy zgasną słońca,
Gdy światy runą,
Gdy z anielskiego różańca
Gwiazdy się zsuną,
Gdy Ty, o mocny!
Ty nad błękitem,
Dyszący pełnią rozrodu,
Rozpostrzesz ciemność bez końca
Ponad ostatnim skowytem
Twojego płodu
I siadłszy na srebrnym tronie,
Chcąc nowym światem zabłysnąć,
W chaosie zanurzysz dłonie,
By nowe kształty wycisnąć,
Wtedy się kłąb przeobrazi,
Skrzywi się dzieło Twej ręki
I boską twarz Ci przerazi
Widmo wyjącej paszczęki.

DWIE TWARZE.

SZKIC.

Rozpromieniony, młody i świeży, odziany słońcem i wiosną buchający ogniem i zapałem życia, ściągnął lejcę swego wierzchowca przed wiejską chatą.

Mógł wejść śmiało — chłop dzierżawił ten domek od ojca jego, dziedzica.

Wszedł bez powodu, ot, dla wrażenia wiejskiej zagrody po kamienicach wielkiego miasta.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki!

I rozmowa się urwała.

Urwała ją... twarz — twarz młodej dziewczyny...

Ta twarz była tu pierwszą osobą — nakazywała milczenie i uroczysty spokój...

Twarz dziewczyny chorej, siedzącej na łożu...

Mimowoli wszyscy zamilkli...

Panicz w dziewczynę patrzał...

Oni -- to na nią, to na niego.

*

A z twarzy dziewczęcia hypnoza szła i urok.

Twarz była blada, lekko pożółkłą.

Czasem na starych obrazach kościelnych mają tę cerę święte.

Z twarzy patrzyły ku niemu oczy młode; bez blasku, a jednak z mocą dojrzałego spojrzenia; oczy orzechowe o tonie zszarzałego złota.

Twarz była bez wyrazu, a jednak zastanawiająca swą rezygnacyą niemą....

Niema twarz!...

Dwunastoletnia a już uroczysta.

Młoda a już nakazująca milczenie.

On bezwiednie drgnął...

Pytająco na ojca spojrzał.

Ojciec odchylił przykrycie.

Nogi dziewczyny były obrzmiałe, chore, biedne...

Twarz nie zmieniła wyrazu.

Oczy szklane, zatrzymane w kontemplacyi swej dojrzałości przedwczesnej.

Panicza oblał rumieniec gorący.

Żal, litość, wstyd, bojaźń, współczucie.

Wreszcie przemówił prawie niedosłyszalnie:

— Co radzicie?

— A byliśmy u zażegnywaczki, kazała przykładać liście.

Poruszył się niecierpliwie, gniewnie.

— Byliście u doktora?

— Kabyta.

Dziedzic był lekarzem, jego ojciec.

*

Za powrotem do domu prosił ojca, by odwiedził chorą.

Ojciec rzekł:

— Weź sobie za zasadę: Kogo nie proszą... wiesz zresztą.

Nie było już o tem mowy.

. . . .

Refleksye: szkoda dziewczęcia. Taka ładna. I nic. Niema rady. Doktora nie wzywają. Sam iść niechce. Proboszcz nie wie. Zażegnywaczka jest wszystkiem. Przy takiej opiece dziewczyna może pójść prędzej, niż drudzy. Możnaby zresztą nalegać na ojca. Zrobić z chorej kwestyę. Ale czyż on sam nie jest chory, potrzebujący opieki, nieszczęśliwy!... Koło każdego stoi taki doktór, którego nie wzywają, taki proboszcz, który o chorobie nie wie i taka żażegnywaczka, co radzi wszystko. A śmierć ona prowadzi konsylium...

. . . .

Wyjazd do miasta.

Mija rok.

Następne wakacye.

Koń. Wycieczka. Ta sama chata. Panicz, ściągając lejce, do siebie:

— Zajrzę!

Lekki wyrzut sumienia.

Serce bije mocniej.

Wreszcie, pociągnięty przymusem wewnętrznym, wchodzi....

*

— Niech będzie...

I urwał...

Chłop odkrył przykrycie... ciało czerniało...

Twarz... ta sama... młoda... tchnąca lękiem i przerażeniem... Jakże zmieniona!... twarz dziewczyny, leżącej na łożu... nagle zwrócona do przybysza... boleścią wykrzywiona... boleścią tą, która już odchodzi, tą która nas żegna ostatnią, straszną mimiką, z rozstajnych dróg!... Twarz przerażająco wymowna!...

Oczy we łzach, tesame oczy, orzechowe o tonie zszarzałego złota... Zatrute strachem, który szedł od szpiku kości... i bólem, który wzrastał przez cały rok... oczy krzyczące:

— Patrz! coś zrobił! mogłeś! mogłeś ocalić... czekałam... cały rok!... och!!...

Nie mógł patrzeć — uciekł — siadł na konia — czuł, że go coś chwyta za głowę i, przez kość wbija do mózgu ostry, długi, przeciągły wyrzut, niby gwóźdź!...

— Boże, Boże! może szczypta chiny, może cośkolwiek... wtedy przed rokiem... a dziś — — —

I to jest jego wrażenie z wiejskiej chaty:

Te twarze dwie!...

Kazimierz Lewandowski.

JAN PIETRZYCKI

BEZIMIENNA PIEŚŃ.

W PRZESTWORZU DZIWNĄ GRAJĄ PIEŚŃ
ORKIESTRY DUCHÓW RZEWNE
I DRGAJĄ Z LĘKU LIŚCIE DRZEW
I GWIAZDY W MROKÓW ŁONO
WTŁACZAJĄ OCZY ZŁOTE — SENNE...
A CAŁA ZIEMIA ZASŁUCHANA,
OWIANA MOCĄ NIESKOŃCZONĄ,
Z DUSZĄ MĄ PŁYNIE W BLASK I ZMIERZCH
ZA BEZIMIENNĄ PIEŚNIĄ ONĄ...



ADAM ZNAMIROWSKI.

TESTAMENT.

»Wkształt gwoździ, tępych, pordzewiałych gwoździ, przytwierdzało mnie życie do łoża tortur, madejowego łoża w wielkim szpitalu świata.

Nękało mnie z całem wyrafinowanem okrucieństwem, dla którego niezrównanem medyum była natura moja, nad pojęcie wrażliwa i czuła.

A były to męczarnie osobliwe jakieś i niezwykłe, gnębiące mnie w sposób, w jaki nie objawiały się chyba u nikogo z cierpiących.

Pozorna ich nienaturalność mogłaby niejednemu wydać się szaleństwem, zwłaszcza, że w chwilach wysokiego napięcia przybierała kształty, potworne iście przez swą przeraźliwą grozę.

Wyrastały one, obłędnie zwichrzone, z podgłebia duszy, zroszonej krwią serdeczną, bujnie krzewiły się w sercu, w dzikiem rozpasaniu cierpień.

A jeżeli nadmierny rozrost uczucia zechce kto nazwać chorobą, to potęgował ją we mnie dzień każdy do niepojętych rozmiarów. — Doszło do tego (a nie znajdę chyba silniejszego porównania) że uczucie moje dopięło potęgi, do jakiej u innych dochodzić zwykł egoizm.

Więc najprzód uczucie to — przelało się na rodzinę, a było tak wyjątkowe i dziwne, że ilekroć objawiło się, w słowach, lub postępkach, patrzono na mnie, jak na waryata — : Wprost nie mogłem pogodzić się z myślą, że ktoś z mnie najdroższych cierpi, a ja wobec tego muszę stać bezradny. Na myśl tę działo się ze mną coś nieopisanego. Nieokiełznany bunt cechujący mnie od dziecka, wybuchał wtedy z siłą, która mnie samego wprawiała w przerażenie.

Pamiętam jeszcze ten szał konwulsyi, jaki mnie rzucił o zimną posadzkę kościoła, gdym błagał Boga o zdrowie dla mej matki.

Wierzyłem wtedy, że siła pragnienia zakwitnąć musi cudem i obłędny tą mistyczną wiarą biegłem do łoża matki pewien, że ją zeń podźwignę.

Znalazłem ją w konwulsyach — a w kilka dni potem umarła. Zostało nas sześcioro, a ja — dzieciak dwunastoletni — przestałem odtąd się modlić.

Niezmilkłym już buntem miała rozgorzeć ma dusza, ta dusza szaleńca, co nie zaznała nigdy radości, ni ukojenia.

Miłość, jaką ukochałem rodzinę, przyprawiała mnie o formalny obłęd.

Z tem okropnem przeświadczeniem, że życie jest jedną, nieustanną męką, nie mogłem spojrzeć na kogoś z rodzeństwa, by równocześnie nie uświadomić sobie bolu, jakiemu podlega on w tej chwili.

A chociaż czułem całą swą bezsilność, nie byłem zdolny wyrwać się tym katuszom — lecz owszem — z jakąś desperacką pasyą pogłębiałem się w ich odczuwaniu.

A nie ograniczały się już one do chwil, kiedy siadałem bezczynnie i z dziką rozkoszą smagałem niemi struchlałą swą duszę. Nawet wtedy, gdy zajęty pracą usuwałem się z pod ich jawnego działania, nie mogłem marzyć o zupełnym spokoju. A nawet, jak to poznałem później, te stany półświadomości, były daleko dotkliwsze i przykrzejsze, niż chwile, w których analizowałem się z całą świadomością. — I gdybyż katusze te ograniczały się na chwili. Ale oślepłe dla jaskrawej czczości widomych zjawisk, z dziką, rozpaczną żądzą wsączały się oczy moje w odmętne tajnie przyszłości. A zapatrzone tak, miały znieruchomienie ptaka pod wzrokiem okularnika, lub trwożny załęk niemowlęcia, kiedy raz pierwszy skaleczy je krwawy promień słońca.

. . . .

Gdy po wyjeździe z domu znalazłem się w nędznej stancyjce ubogiego ucznia, popadałem w formalny szał lęku. — Cały chaos przypuszczalnych nieszczęść, jakie spaść mogły na tak ukochanych, wstawał ze struchlałego serca i z jakąś orgią rozpasanej fantazyi wszczynał rozwijać panoramę obrazów, od których

krew zalewała mi mózg, a febra zimnym uściskiem szkieletu kładła na łoże, gdziem się wił przez dnie całe w straszniejszych jeszcze wizyach gorączkowych.

Stąd nie trudno zrozumieć naprężenia, jakie kurczem plątało mi nerwy i na kolor cegły wypalało policzki, gdym utęskniony i niespokojny wracał z mej celki do domu. — Lecz jak dotkliwym był zawód, gdy zamiast ukojenia, znajdowałem tylko odmienny rodzaj tych wiecznie prześladujących mnie lęków.

Bo jak dziwnych męczarni stawałem się tam pastwą, tam na wsi, pośród rodziny, dla której żywiłem zawsze jakąś fanatyczną miłość, graniczącą z obłędem. (Tak przynajmniej pojmowano ją powszechnie, bo przez swą pozorną dziwaczność, była zjawiskiem, jedynem chyba w swym rodzaju.)

Bo i tutaj, choć miałem wszystkich przy sobie, nie ustępowała ta straszna mgła lęku, w którą otaczała przeczulona ma miłość każdego, kto był jej przedmiotem.

A nie wytwarzał jej napływ jakichś niejasnych przeczuć, była to raczej jakaś nieubłagana pewność, jakaś okrutna, nieodparta świadomość przyszłych klęsk i męczarni, jakie wiecznym i niezmiennym fatalizmem spaść miały na tych, których męką całego życia chciałbym od jednej łzy uchronić.

O! chwile niewysłowionych i przedziwnych tortur, jakiemi pastwiła się nademną ma miłość, gdym siadał w kole rodzinnem do cichej, serdecznej pogwarki, a przed mym wzrokiem wizyonera, zlowrogie siecie kolizyi zawisały już nad gromadką biednych, już wpadały w ich środek zygzakami błyskawic i przyczajały się, by napaść na nich i rozmieść z pod strzechy rodzinnej, — już widziałem, jak ich plątały w krwawe dramaty z nowem okoliskiem, jak niosły z sobą chmury złowróżbne, miażdżące, by zwalić je na bezbronnnych.

Tak było zawsze, ale do niezwykłych już rozmiarów potęgowało mą mękę najmniejsze podrażnienie. Dość było mi posłyszeć o cudzem nieszczęściu, bym lęku mego nie zdołał już opanować.

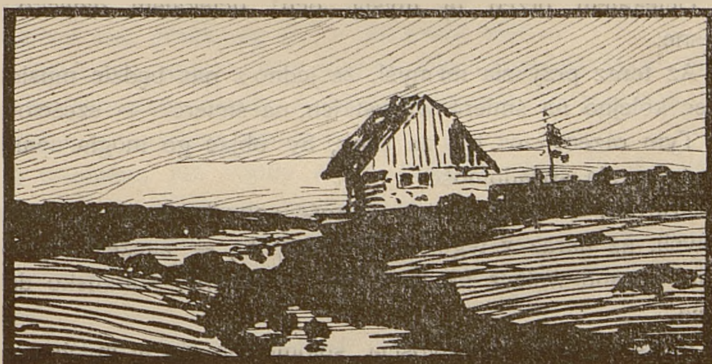
Z jak przeraźliwą wyrazistością, odczuwałem wówczas krót-

kotrwałość pozornego spokoju, któremu tak ufnie zawierzali wszyscy naokół.

O, bo urzeczone wzrokiem codzienności, zapadają dusze ludzkie w letarg, w półsenny letarg, z którego budzi je dopiero cios nagły, niespodziany.

Lecz duszy mej, wiecznie bezsennej, nie trzeba było wtrząśnień nagłych i gwałtownych — w najtajniejszej ciszy słyszała ona złowrogie preludyum, tego co przyjść musi, — czego nie cofnie nikt i nic.

Wszak, — gdziemkolwiek wzrok zwrócił, wszędzie niemal srożyła się zaraza nieszczęścia, lub wegetowali ludzi o twarzach stępiałych od ciosów, co łamią życie, jak kruche badyle.



A gdym wracał do siebie z tem strasznem przeświadczeniem, długo nieraz stałem u drzwi domu, bo nieznośny lęk opadał mnie na myśl, że, gdy tam wejdę, dowiem się może czegoś, czego w najśmielszych przeczuciach nie odwarzyłbym się przypuścić.

Aż raz wieczorem, gdy każdy śmiech tych, których przyszłość znałem, tak dobrze (o! aż zanadto dobrze), gdy każde spojrzenie ich w przyszłość bolesną zgrozą rozkręcało mi nerwy, te wiecznie bezsenne nerwy — w kształt rozpalonogo metalu padła na znękaną mą duszę myśl, okropna myśl.

Dziś jeszcze wspomnienie bólu, jaki wtedy uczułem, dech mi w gardle zapiera.

Siedmioro nas było przy stole: ojciec, cztery siostry, brat mój i ja.

A dodać tu muszę, że zawsze od dziecka, jakimś obłędem trapiła mnie myśl o śmierci kogokolwiek z mej rodziny. Przy całem poczuciu konieczności tego ciosu, nie mogłem uwierzyć, by coś podobnego stać się mogło, — nie mogłem pojąć jak cios taki przenieść i żyć dalej można. Sam cień tego przypuszczenia, które starałem się natychmiast stłumić, przyprawiał mnie o nieokiełznane rozdrażnienie, a pamiętam, że dzieckiem, napastowany tą myślą, rzucałem się nieraz przed siebie i biegłem tak bez pamięci, aż padałem bezwładny na ziemię.

Uciekałem przed tą myślą, och! uciekałem dziecko nieszczęsne.

Aż teraz przyszła mi myśl, że jedno z nas będzie musiało — patrzeć kolejno na śmierć wszystkich, na śmierć: — sześciorga....

Tym razem cios był za silny, by objąć go mogła sparaliżowana tą myślą świadomość.

Szarość, okropna, mętna szarość spowiła brudnym całunem me myśli, aż naraz z tego ubezwładnienia, — zaczęło się dobywać na sposób wstecz krającej piły — dziwne, szatańsko dziwne uczucie.

Jakąś straszną ciekawością, spłomieniło się w mych oczach, aż podniosły się błędne, z rozdzierającem pytaniem, od którego stężały natychmiast w jakąś trupią, matową szklistość:

Nie, nie mogłem patrzeć na te twarze nad wszystko mi drogich, na te oczy, tak teraz spokojne i pytać, pytać się struchlałą myślą, kto z nich będzie musiał przenieść śmierć całego rodzeństwa, tą śmierć, biorącą mu jedno po drugiem, kto tu zostanie sam, sam — ostatni z tych wszystkich, co tu teraz siedzą i zadowoleni, pełni ufności wymieniają słowa i uśmiechy.

. . . .

Jak nieraz brałem w ramiona trzechletnią moją siostrzyczkę — i z jak dziką pasyą pogrążałem się w męce, w bezlitosnej męce

odczucia, że niewinne to, słabe, biedactwo cierpi oto każdem włóknem swego drobnego jestestwa, że się sączy w każdą drobinę jego dziecięcego ciałka, niezbłagany, wieczny ból istnienia. A z tego rozpacznego uświadomienia wstawał wraz protest, protest naiwny aż przez swą bezsilność, a tak dziko szarpiący się z serca, co nie mogło pogodzić się z myślą, że dla tego dziecka niema ratunku i niema zbawienia przed cierpieniem życia. Jak czułem każdy spazm bolu ukochanego dziecięcia, jak trzepotało mi ono w rękach w kształt zranionej ptaszyny, jak mięło się we mnie wszystko, gdym patrzeć musiał bezradnie na groźne fatum cierpienia, co biednej onej istotce, na ból tu zrodzonej, nie dozwoli nigdy zaznać szczęścia, ni ujść na chwilę cierpieniu.

A ona, ta siostrzyczka moja, ma lat trzy dopiero. — Trzy lata, trzy....

A przed nią, przed nią — — co przed nią?....

Na myśl taką snadź jakieś upiorne blaski zapalały się w mych oczach, bo pamiętam strach, z jakim wyrywało się wtedy z rąk moich biedne, przerażone dziecko.

Nie władałem już wtedy sobą, przygarniałem je do siebie z dziką waryacką rozpaczą, oplatałem je rękami, jakby w obronie przed jakimś strasznym, czyhającym nań wrogiem, to na głowie jego kładłem ręce, niby namiot, co je miał chronić przed groźną nawalnicą.

Lecz już on szał bezpamiętny trupią ręką mroziła pleśń refleksyi, już sączyła weń jad zabójczy, od którego tężała w żywym rozkładzie ma dusza:

Choćbyś swą troską opowił ją biedną, jak bluszcz opowija ziemię, nie ochronisz ty jej od cierpienia, bo cierpienie to w niej jest, w każdym czującym atomie jej ciała, w każdem drgnieniu uczucia i myśli.

Więc niema rady, ratunku.

Nie — — nie.

Miłość moja nie znała rezygnacyi — skłębiona szałem nieokiełznanego już buntu — chwila — a zerwie się błyskawicą uświadomienia — ratunku.

Lecz co to?

Cały ten żar czucia, nieogarnięty już i wezbrany, tak, — że myśl mą w kształt strzępa grążył co chwila w swych nurtach, zastygnął naraz w tępem otrętwieniu.

Lecz nie na długo.

Bo oto zerwał się jeszcze szaleńszy, wpił się w moją duszę, przylgnął do niej płomiennym językiem, aż zalśniła czarną pieczęcią niezatartego już uświadomienia...

A oto cała moja dusza owinęła się bolesnym splotem wokół tej czarnej plamy i tak wciśnięta w nią, syciła się tysiącznem jej odbiciem w swych mistycznych, szkliwem obłędu pociągniętych oczach...

I nie miały się już nigdy zakryć powieką zapomnienia — te oczy, w których ból tylko roznieca iskry świadomości, błędne ogniki, co przewijały się pląsem konwulsyi wśród mgieł wiecznego smutku.

O! uświadomieniem tem była myśl, potworna myśl, jakiej chyba nigdy nie porodziła miłość w duszy ludzkiej...

Jak codzień, rodzina moja siedziała przy stole, a ja, skulony w krześle, z uporną przenikliwością wpatrywałem się w siedzących.

Wniesiono herbatę...

Błysk — uświadomienie:

A gdyby, gdyby do każdej z tych szklanek ....haa.. truciciel...

. . . .

. . . .

O! myśl ta, to był rozpaczny przejaw umęczonej duszy, to był stygmat miłości, co w swej niezmiernej potędze przestała już być ludzką, bo stanęła ponad wszelkim instynktem, ponad wszelką zwierzęcością, a stała się jakąś nieziemską, boską...

. . . .

Lecz wykonać...

Wszak to tak proste.

Moment i ci wszyscy, tak bezgranicznie biedni, przestaliby cierpieć.

Och!!...

Nie byłem zdolny...

Instynkt zachowawczy.

Zwierzęcości tego instynktu, snadź doszczętnie nie zdołałem zniszczyć...

I w konwulsyach śmiertelnej rozterki byłem jak sparaliżowany, okrutną, straszną niemocą. Te rozterki, o! te rozterki nie milknące nigdy. Po takiej walce ból nie nęka już i nie sroży się w całej nagości, bo obłędne jego koła przeszły poza okrąg czucia, a oto rozpoczyna się ich piekielny taniec, rozpętany taniec, od którego myśl, czucie popada w wir szału, zatraca już pełną świadomość, upija się powoli, a w tem pijackiem odurzeniu wypełza na twarz on uśmiech lubieżny a smętny, bolesno-ckliwy uśmiech, jaki tak często pojawia się u waryatów.

— O! wszak ja waryatem byłem wówczas, ha! ha! ha! — waryatem...

A oto teraz, gdy bliski śmierci, piszę te urywane wyrazy, bolesne i przykre, jak suchotniczy kaszel, który mnie męczy w tej chwili, nic nie boli i nie nęka mnie bardziej, nad pewność, że śmiercią moją roztworzę niezgojoną ranę w sercach tych wszystkich, których zostawiam tu na ból i mękę.

A jeśli rozkrywam wam mą duszę, to czynię to w nadziei, że spowiedź ta ukoi was może i przyniesie ulgę jaką.

Bo pragnę, by pociechą stało się dla was przekonanie, że śmierć jedna — mogła kres położyć mym cierpieniom.«

Z POEMATU „LOTOS“.

(WYJĄTKI.)

II.

Ojczyzno moja, ziemio moja święta
od gór podniebnych do morza przeźroczy,
jak ogród kwiatów przewonny rozpięta!
Przymykam senne od łez dawnych oczy:
znowu mi płacze twoich puszcz muzyka,
znowu cię widzę kraju mój uroczy!
Oto jest Ganges, modrych wód władyka!
Słońce, bóg światła, jasny obraz Brahmy,
na śnieżnych szczytach kładzie się i znika ....
Prześwieca jeszcze przez lodów odłamy
i krwawwo barwi Gangesowe łono,
rzucając złote srebrnej wodzie tamy.
Szczyty dalekich świątyń w mgłach już toną,
a skróś wpółsennej hindyjskiej krainy
wiewy przewonne gdzieś od morza wioną ....
Oto wieczorne rozkoszne godziny!
Noc w swe objęcia świat miłośnie garnie —
a sierp księżyca z za wód wschodzi siny ....
Za wszystkie dzienne trudy i męczarnie
chwilę spoczynku teraz świat mieć będzie:
nad senną ziemią niebieskie latarnie
już rozbłyskują, — cisza, błogość wszędzie....

III.

Lotos na wodzie drży i sieje wonie;
liście igrają z falami lubieżne,
a kwiat, jak oko, patrzy w niebios tonie
złotych gwiazd pełne, tajne i bezbrzeżne.
Cisza — i tylko fala z kwiatem gada,
nad którym taniec ćmy zawodzą śnieżne.
W ciszy tej słychać jak liść suchy spada
z wysmukłej palmy lub zielonej figi,
słychać, jak wąż się cicho w trawie skrada
ku gniazdku pawia. Powojów łodygi
drgnęły i drzewa z nocnych wiatrów wiewem
w świetle gwiazd mówią coś z sobą na migi.

O czem rozmawia leśne drzewo z drzewem?
Czy o księżycu, który właśnie wschodzi
srebrny nad wody srebrzystej rozlewem
i jakieś widma, jakieś mary rodzi,
ławy perłowe przez głębie im ciska
z powodzi fal ku lotosów powodzi?
Po mgławej tęczy, co jak opal błyska,
księżyc ku kwiatom przyszedł i oblicze
nasyca wonią, co z ich łona tryska.
Księżyc miłośnie pieści te dziewicze
kwiaty i pewnie w noc im cichą wyzna
rzeczy nadziemskie, dziwne, tajemnicze,
którym jest w niebie miejsce i ojczyzna . . . .

IV.

Hej! któż z was zbadał głębiny Gangesu,
kto wie, co zapach kwiatów w sobie chowa?
Kto wie, co znaczy to niebo bez kresu
i gwiazd ulewa na niem brylantowa?...
Nocą nad Hindyą ponad wonne kwiaty
płynie prastarych puszcz cicha rozmowa,
płynie szeroka, a wiatr ją skrzydlaty
niesie nad morskie, wtór grające fale
i dalej, dalej, gdzieś w zamorskie światy . . . .
Kto wie co znaczą te echowe żale,
głos-li to skargi, pieśni czy pacierzy?
Lecą — a kto wie, gdzie, na jakiej skale
usną, gdy wiatr je znużony odbieży? . . .

Jerzy Żuławski.



FILOZOFIA ANHELLEGO.

(2) (Uwag kilka wypowiedzianych jako odczyt).

Ten, co jak Słowacki, powiada »Kto wam miłości ludzkiej nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa«, musi mieć naturę uczuciową i miękką, temu i miłość kobiety w idealnych, tęczowych przedstawi się kolorach.

Miłość kobiety ma w utworach Juliusza zabarwienie specyalne. Występują w Anhellim Eloe, anioł, czuwający nad spokojem mogił, i Ellenai, wygnanka, dawniej zbrodniarka, a potem siostra Anhellego. Postać Eloi, narodzonej ze łzy Chrystusowej na Golgocie, wywołała liczne komentarze i domysły. W każdej z hypotez, które stawiano [1]), jest może cząsteczka prawdy, nie zdobędziemy wszakże nigdy zupełnej pewności, a postać anioła z białemi skrzydłami, anioła litości i mogił tak cudną jest, tak poetyczną a zarazem tak ludzką, że wzbudza raczej zadowolenie estetyczne, niż chęć odrzucenia tajemniczych obsłonek. — Eloe bliską jest wygnańcom, bo jak oni wygnaną, i to za grzech miłości. Za jednym z ciemnych cherubinów poleciała w ciemność i teraz przebywać musi na ziemi. A że za czasów pokuty, tak samo jak w dobie grzechu, litość stanowi treść jej istoty, więc przebywa na ziemi syberyjskiej »piastunką jest grobowców«, czuwa nad spokojem umarłych. Anhellemu przypomina niewiastę, którą kochał z całej duszy, będąc jeszcze dzieckiem, a sądząc ze słów Eloi, wyrzeczonych po śmierci Anhellego, musiała istnieć między nimi jakaś nić tajemnicza.

»Jam jest w części odpowiedzialna, że — serce jego nie było jak dyamentowe — źródło, i tak wonne jak lilie wiosenne.

To ciało do mnie należy i to serce mojem było«.

Zdaje się tedy, że i na postać Eloe złożyły się rozmaite pierwiastki, a zatem i opowieść Alfreda de Vigny, może również zasłyszana w klasztorze hiszpańska legenda, że jedno i drugie wywołało w sercu poety wspomnienie miłości do Ludwiki Śniadeckiej, że może ta miłość była struną drgającą, ilekroć uderzono akord pokrewny. Rozdział jedenasty i ostatni niezupełnie z sobą zgodne,

[1]) Monat (Świat 1893 r. — Czas powstania Anhellego i znaczenie poematu) twierdzi, że Eloe jest wyidealizowaną Ludwiką Śniadecką, która zakochała się w Rosyaninie, poległym w 1828 r. Zygmunt Krasiński zwraca uwagę, że pomysł do Anhellego — zapożyczony jest z Alfreda do Vigny, co uzasadnia cytatami Ignacy Matuszewski (Ateneum r. 1892 t. III. — Geneza i znaczenie Eloi). Wreszcie Hösick zwraca uwagę na legendę hiszpańską, którą opowiadano Słowackiemu na Libanie.

kiedy w pierwszym Eloe zdaje się tylko przypominać Anhellemu osobisty jego ideał, to w drugim utożsamia się z nim niemal.

Ellenai, choć mniej wzniosła, jest prawie nie mniej ciekawą. Anhelli zabiera ją ze sobą na rozkaz umierającego Szamana, któremu Ellenai wyświadczyła ostatnią przysługę. Tych dwoje ma sobie osładzać samotność w śniegach północy, jak brat i siostra. U Ellenai przecież od początku nie jest to przywiązanie siostrzane, lecz raczej uwielbienie na tle erotycznem. Pierwsze jej słowa, gdy mu do nóg pada są: »Aniele mój«. Ostatnie:

»Jam się przywiązała do ciebie jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze...«

A umierając powiada: »Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie Anhelli, pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi...« Tak mówi kobieta, która kocha i której miłość wyraża się nie jako pożądanie zmysłowe, lecz jako cześć cicha i głęboka. Taka miłość połączona z wiarą i modlitwą uduchowia Ellenai i podobną czyni świętej. »Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei i wypiękniało na niej ciało. Oczy rozpłomieniły się blaskiem cudownym...« I jej się udziela tęsknota za słońcem, zazdrości ptakom skrzydeł ich, a śmierć spotyka spokojnie.

Jakiż jest stosunek Anhellego do tej niewiasty, a mówiąc o Anhellim mimo woli podsuwamy postać samego poety, u którego miłość była raczej tęsknotą, słodką harmonią, dopełniającą jego własne ja, niż namiętnem pożądaniem. Zresztą łagodna dusza marzyciela potrzebuje mieć blizko taką żywą sympatyę, którąby w każdej chwili koło siebie czuć mogła. W jednym z listów pisze: »Przywykłem nie do kochania czegoś, lecz do lubienia czegoś na świecie...« i tem dziwnie dobrze określa stosunek Anhellego do Ellenai: lubił ją, przywykł do niej, a gdy jej nie stało »spojrzawszy na ściany zajęczał, bo już jej nie było«. Dopiero po śmierci Ellenai odczuwa całą grozę samotności i popada w rozpacz — była mu zatem potrzebną ta siostra przypadkowa.

W poemacie spotykamy inną jeszcze kobietę w kopalniach Sybiru »nieszczęśliwszą od nas«, mówią ginący tam nędzarze. I ona jest młodą i piękną, jest dobrą, cichą i poświęcającą się jak tamte, ale jest od wszystkich biedniejszą, bo poświęca się dla niegodnego męża, który błagał o życie i którym pogardzili.

Te trzy pokutnice za swoje i cudze winy są całym światem współczesnych Słowackiemu ideałów niewieścich, kiedy miłość, ofiara i litość wyczerpywały wszystkie dozwolone kobiecie uczucia i pragnienia. Są przecież między niemi różnice zasadnicze.

Eloe, genjusz litości, upadła przez litość i miłość dla cherubina, nie dla człowieka. Z pochodzenia była anielicą, a w poemacie poświęca się nie dla jednego śmiertelnika, lecz dla wszystkich umarłych. Uosabia ona uczucie i czyn, moc wyższą, rozkazuje samodzielnie i wolę swoją narzuca wysłannikowi zwycięzkich ludów. Charakterystycznem jest, że Anhelli w niej znajduje odtworzenie ziemskiego swego ideału, że nie ziemska kobieta, lecz anielica blizką była jego sercu.

Ellenai, ongiś zbrodniarka, spełnia rolę więcej bierną. Pokuta jej jest inną, a odpuszczenie win otrzymuje, gdyż ulitowała się nad pokrzywdzonym i pohańbionym przez wygnańców Szamanem, a potem służy Anhellemu, człowiekowi — ofierze.

Księżna wreszcie pokutuje za niepopełnione winy, a najbiedniejszą jest, najwięcej upokorzoną, bo uczyniła się dobrowolną służebnicą niegodnego.

W postaciach niewieścich znów tedy chodzi o ducha. Najwyższa, duch nieziemski, cierpi i poświęca się za wszystkie dusze, spełnia zatem ofiarę zbiorową. Ellenai odkupioną jest przez służbę swą u duchów wyższych. Obie, choć cierpią, nie są pożałowania godne, ani nieszczęśliwe, bo duch ich żyje i cierpi dla innych. Nieszczęście zaś mierzy Słowacki upodleniem ducha, nieszczęśliwą jest tedy pokutnica za winy człowieka niskiego.

* *
*

Motyw miłości ojczyzny — myśl przewodnia poematu, łączy się w Anhellim z całym etyczno-społecznym światopoglądem Słowackiego.

Indywidualista z natury, żyjący właściwie po za światem rzeczywistym, musiał Słowacki do spraw i ludzi, a także do samego siebie przykładać subjektywną miarę, musiał z drugiej strony ścierać się z poglądami swego czasu i ogółu.

Z konieczności zatem wyrobiły się w nim dwie miary, dwie normy, moralność dwojaka. Jedną mierzył siebie i podobnych sobie, drugą ogół.

Zarodek tej niejednakowej normy nosi z nas każdy, a tem trudniej może go przezwyciężyć, im dalej odbiegł od tłumu.

Tłum i Słowacki to dwa krańce, między którymi trudno odnaleźć pokrewieństwo. Cóż więc dziwnego, że dla owej rozbieżności, natur, pożądań, odczuć poeta stwarza podwójną normę moralną?

Kto wie, czy nie zastosował jej Słowacki w życiu, opusz-

czając kraj w 1831 r., przez co stał się na resztę życia wygnańcem. Od autora Pieśni do Bogarodzicy, Pieśni do legionu i Kulika spodziewano się czynnego w boju udziału i przodownictwa czynem rewolucyjnym. Nie każdy przecież może być żołnierzem, a przeznaczeniem słabego i wątłego fizycznie poety była pieśń i myśl. Wybrał tedy inną drogę służenia ojczyźnie i zaopatrzony w paszport podążył przez Niemcy i Francyę do Angli, gdy patryotyczne wyrazy stworzonych przez niego pieśni rozbrzmiewały w ustach najzapaleńszych i najradykalniejszych powstańców.*)

Jemu było sądzonem napisać najwspanialszą i najgłębszą skargę na upadek ojczyzny, ową niezapomnianą strofę z grobu Agamemnona

Na Termopilach, ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku
Bo tam być muszą tak patrzące twarze
Że serce skruszy wstyd — w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem
Nie, pierwej skonam — niż tam iść z łańcuchem.

Natchnienia do tych strat przejętych bólem, pisanych w chwili najwyższego odczucia narodowej godności i dumy, szukał wieszcz nie wśród kul armatnich lub surm bojowych, lecz zgodnie ze swą duchową organizacyą w ciszy i samotności:

„Na tych wyżynach ducha jest ponura
Dla serc stroskanych cisza; tu ja czerpię
Ogień, i maczam w ogniu orle pióra."

Miłość ojczyzny jest złożonem uczuciem, które zależnie od indywidualności rozmaicie przejawiać się może. W momentach wielkiego niebezpieczeństwa, czy tryumfu, a zatem i wielkiego napięcia uczuć, patryotyzm ten sam jednoczy wszystkich współrodaków, zlewa wszystkie wole w jedną i zamienia je w czyn.

Lecz i w takiej chwili w 1831 r. indywidualność Słowackiego na krótko ledwie dostraja się do ogólnego tonu. Potrafił być poetą i pieśniarzem rewolucyi, ale nie jej bojownikiem. Przewodniczenie czynowi narodu nie stało się treścią ducha poety, choć było jego chwilowem marzeniem. Za to w Anhellim stawia

---

*) Nowsi krytycy poddają w wątpliwość, czy Słowacki istotnie wyjechał za granicę w misyi dyplomatycznej, jak to przedstawia Małecki. Zasięgałam w tej mierze zdania najlepszego może dziś znawcy pierwszego okresu życia Słowackiego, p. Leopolda Meyeta i ten zapewnił mnie, że Małeckiemu racyę przyznać należy, na co posiada dowody.

ideał odkupienia zwyciężonego narodu przez cierpienie. Ideał to nie ogółu, lecz wyjątkowo czystej, wybranej jednostki jaką jest Anhelli. Występuje tu owa podwójna norma moralności.

Ludzie słabi, których uosabia w tłumie wygnańców nauczyć się muszą „jak znosić głód, nędzę i smutek“.

Wybranym zaś powiada: „Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie, stojący na podniesieniu: a ci co przyjdą widzieć was będą.“ Uznaje bowiem, że „Jednych dusze idą w słońce, a drugich dusze oddalają się od słońca.

...„stałość małych uporem jest, gdy ludzie pierwsi w narodzie uznają błąd swój, nie spodziewając się nawet przebaczenia.“

I poeta może błąd swój uznawał, ale przebaczenia zań nie żądał, bo czuł że nie w jego mocy było inaczej postąpić, że go opanowała zapełnie owa „zgubna choroba“ za jaką uznaje „melancholię i zamyślenie się zbytnie o rzeczach duszy.“

Lecz właśnie w tem, co było treścią duszy, nie uznaje jednakiej dla wszystkich normy:

„Dwie są bowiem melancholie: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.

Dopiero gdy przeszedł okres walki, w której udział przyjmowali ludzie czynu, gdy społeczeństwo w agonii stworzyć sobie musiało ideał, aby ratować się moralnie, Słowacki czuje, iż rola jego się poczyna.

Anhelli otrzymuje od Szamana „większy ciężar, niż mogą unieść inni“ świadomość wszystkich nieszczęść tej ziemi, a potem „samotność z brzemieniem myśli i tęsknot“.

Lecz któż jest Anhelli, ów zagadkowy geniusz odkupienia? Z początku Anhelli zdaje się być tylko jednym z tłumu; przecież wielkość posłannictwa, doniosłość włożonych nań przez Szamana obowiązków daje mu siłę. Anhelli jest bierny, gdy idzie o czyn. Szaman czyni cuda za jego pośrednictwem, ale Anhelli zdaje się być tylko medyum, które nie przez wolę, lecz przez osobę swoją dokonywa wielkich rzeczy. Cała jego postać nieziemska, zbliża się do ludzi i ich cierpień, ale podczas kiedy Szaman boleje wraz z niemi, gdy pragnie spotkanych ludzi oświecić, poprawić, od upadku ochronić, gdy nawet »zapala się w smutku«, Anhelli jest zawsze spokojny, gdy chodzi o sprawy ludzkie, dopiero wyraz ojczyzna wyciska mu łzy z oczu, a myśl o jej zbawieniu do największych skłania ofiar. Poeta dał mu odważną duszę, duszę syna ojczyzny, którą kocha nad wszystko i duszę indywidualisty, któ-

rego wspomnienia osobistej miłości i przebytych cierpień poruszają do głębi. Anhelli wszystko oddać gotów dla ojczyzny.

»Idźcie i powiedźcie Bogu, że jeżeli ofiara duszy przyjętą jest, oddaję ją i zgadzam się, aby umarła«.

A dalej: »A choć Bóg wie, że jestem czysty na duszy i nie skalany żadnym grzechem podłym — oto powiedzcie Mu, że jeżeli chce ofiary z duszy mojej ...to ją dam«.

Ofiarność bezwzględna, poświęcenie samego siebie, to siła Anhellego. Ale ofiara nie zostaje przyjętą, przeciwnie niebiescy posłańcy, do których przemawia, zakazują mu rozporządzać sobą:

A wiesz li ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów. Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemności dla przestrachu zgrai.

Myśl ofiary, jako prawa twórczości, występuje potem u Słowackiego w Genezis z ducha, a zaznaczone w Anhellim pojęcie o odkupieniu ojczyzny przez miłość i ofiarę, krystalizuje się w umyśle poety w końcowym ustępie Genezis, nazwanym modlitwą:

»Spraw, aby ta jedyna droga rozwidnień i oświeceń: droga m i ł o ś c i i w y r o z u m i e n i a, coraz mocniej jaśniała wiedzy Słońcami... i lud twój wybrany i drogą bolesną teraz idący do królestwa Bożego zaprowadziła«.

(Dokończenie nastąpi).



Od Redakcyi.

Dzisiejszym numerem rozpoczyna „Młodość“ rocznik drugi pod nową redakcyą.

Nie stawiamy żadnego szczegółowego programu; uważamy jednak za obowiązek zaznaczyć ogólny charakter pisma:

„Młodość“ wychodzi jako miesięcznik artystyczno-literacki, a jako taka obejmuje swym zakresem każdy wypływ samodzielnej twórczości artystycznej lub naukowej. Nie jest więc pismem społecznem, jak dotąd; nie jest także organem tak zw. Najmłodszej Polski, bo w sztuce nie ma „młodych“ i „najmłodszych“, jest tylko twórca, szukający dróg nowych, własnych i w tem znaczeniu każdy — młody.

Przystępując do dalszego wydawnictwa, liczymy na poparcie tych wszystkich, którzy nie zatracili szczerości myśli i uczucia.

O innych nie dbamy.



Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW MEUS. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.